ARKADJUSZ AWERCZENKO.

Omyłka.

Sura Frajberg z miasteczka Wyrkowa miała siedmioro dzieci i wcale nie miała męża.

Właściwie kiedyś miała męża, ale posadzili go za jakieś słowa, poprostu słowa — do kozy — a później to już tak — jak to mówiła pani Frajberg:

— Zrobiło się z niego nic.

Sura nie buntowała się, ani nie pomstowała. Postąpiła sobie, jak kobieta: zaczęła sprzedawać na targu szpilki, igły, nitki, wstążki, zaczęła farbować damskie suknie, robić nocami pończochy, pitrasić ciastka, które potem jej mały Abramek sprzedawał smakoszom wyrkowskim, szyła koszule i znaczyła chustki.

Te wesołe, miłe igraszki nie odrywały jej zresztą od zajęć głównych: trzeba było o zmierzchu — po powrocie z targu — odszukać siedem istot ludzkich, które w ciągu dnia rozłaziły się po mieście, jak raki z kosza, trzeba było je zapędzić do domu, zwymyślać, przekląć, obić, wymyć, nakarmić, ucałować i położyć do łóżka.

A rano zajęcia było jeszcze więcej.

Wszystkie dzieci budziły się odrazu i odrazu wszczynały wielki gwałt z powodu tych trzynastu butów (Dawidkowi wóz odciął jedną nogę), trzynastu pończoch i kupy starych szmat, które trzeba było rozmieścić należycie na chudych nogach i wątłych plecach prawych właścicieli.

Po rozdaniu trzewików, komu należy — Sura nie miała już ani chwili czasu, chwytała robotę, biegła po wąskich uliczkach Wyrkowa i próbowała słabym rozumem kobiecym, wyliczyć, ile sprzeda szpilek i co na tem zarobi

* * *

Niedawno pani Sura, wróciwszy jak zwykle z targu, przeklęła z iście macierzyńską bezstronnością wszystkie dzieci jednakowo, wzięła za ucho Dawidka, dała sójkę w bok Szmulkowi, posadziła na kolanach dwuletniego Aronka i zaczęła płakać temi codziennemi łzami, które jej samej się już znudziły.

Skończywszy z płakaniem powszedniem spojrzała nagle na zamorusaną twarz Aronka i — jęknęła:

— Co to? Co jest? Co ci się w oko stało, mój kurczaku najdroższy, żeby się już raz ta ziemia pod tobą zapadła. Ojoj! Oko ma czerwone, jak makówka. I łzy z tego oka płyną, jak z fontanny! Nieszczęście!

Łzy płynęły teraz z trojga oczu: dwoje należało do pani Sury, a jedno do małego Aronka. To oko było rzeczywiście zaczerwienione bardzo i nawpół przykryte ciężką powieką.

Wokoło skakał na tej swojej jedynej nóżce Dawidek, a dziewczynka Rózia skaleczyła się w palec i próbowała z niego wyssać krew.

Bardzo było wesoło.

* * *

Nazajutrz flegmatyczny Aronek, razem z jego zaczerwienionem okiem został siłą wyciągnięty z domu i musiał stanąć przed radą, złożoną z sąsiadek pani Sury.

— Czy ty co widzisz na to oko, chłopak? — zapytała pani Perlmutter.

—Uj! — pisnął wymijająco dzieciak.

— Co taki chłopak rozumie. Jego trzeba zawieźć do okulisty.

— Do takiego okulisty, który leczy na oczy — podtrzymała ją pani Sztilman.

— On mieszka nawet niedaleko — z dzie sięć godzin koleją — dodała pani Perlmutter.

— Dziesięć godzin tam, dziesięć godzin napowrót — dorzuciła stara Gitelsonowa.

— Pani Frajberg — rzekła spokojnie, ale stanowczo pani Perlmutter — to oko będzie panią kosztowało z piętnaście rubli.

Pani Sura zacisnęła zęby, jej twarz była, jakby wykuta z kamienia.

— Dobrze — powiedziała. — Dla mojego dziecka będę miała piętnaście rubli.

* * *

W ostatnich dniach pani Sura ustawicznie się śpieszyła. Zebrała zaledwie osiem rubli, oko Aronka czerwieniało coraz bardziej, a popyt na wstążki i szpilki spadł prawie do zera. I dlatego Abramek musiał sprzedawać podwójne porcje obwarzanków, pani Sura spała już tylko wtedy, kiedy myła, przeklinała i całowała dzieci, po całych nocach zaś szyła i cerowała, a na to żeby się wypłakać miała zaledwie jakieś dziesięć minut czasu dziennie.

Kiedy już wreszcie miała dwanaście rubli, przyszły do niej z wizytą sąsiadki, pani Perlmutter, pani Sztilman i stara Gitelsonowa i powiedziały:

— Co znaczy! Niech pani weźmie od nas pięć rubli. Te pieniądze są pani teraz, jak to mówią, potrzebne

Ponieważ akurat nic nie było do roboty, więc pani Sura rozpłakała się, biorąc pieniądze, ale natychmiast przeszła na ton poważniejszy i postanowiła jechać zaraz dzisiaj, wieczorem.

* * *

Sura przyleciała z targu na czterdzieści minut przed odejściem pociągu. Ponieważ do stacji kolejowej było właśnie około czterdziestu minut drogi, więc złapała prędko Aronka, owinęła go szczelnie w dużą chustę, pobiegła do stołu, chwyciła zawiniątko z jedzeniem, skoczyła ku Rózi, dała jej kułaka, krzyknęła na Dawidka:

— Pamiętaj, żebyś nie bił dzieci. Ty jesteś starszy.

Potem pomacała, czy ma pieniądze w kieszeni, upuściła zawiniątko, ale je znów podniosła i wybiegła — wołając na schodach:

— Umyjcie dzieci! Dajcie im jeść!

Nazajutrz rano Sura siedziała w poczekalni okulisty, trzymała na ręku śpiącego Aronka, zawiniętego szczelnie w dużą chustkę i czekała na swoją kolejkę.

— Teraz pani. Proszę!

Sura wstała, weszła do gabinetu i pokłoniła się nisko lekarzowi.

— Dzień dobry panu doktorowi! Jak się panu powodzi! Przywiozłam panu doktorowi moje dziecko. Ma coś z okiem — niewiadomo co. Poprostu utrapienie.

Doktór podszedł bliżej, pomógł Surze rozplątać chustkę i, otworzywszy chłopcu oczy, obejrzał je uważnie.

— Hm.. — rzekł — Dziwne. Nic podejrzanego nie widać.

Tu rozległ się nagle dziwny, zachrypły, zdławiony krzyk matki:

— Panie doktorze! Ja nie to dziecko zabrałam, co trzeba! Boże!

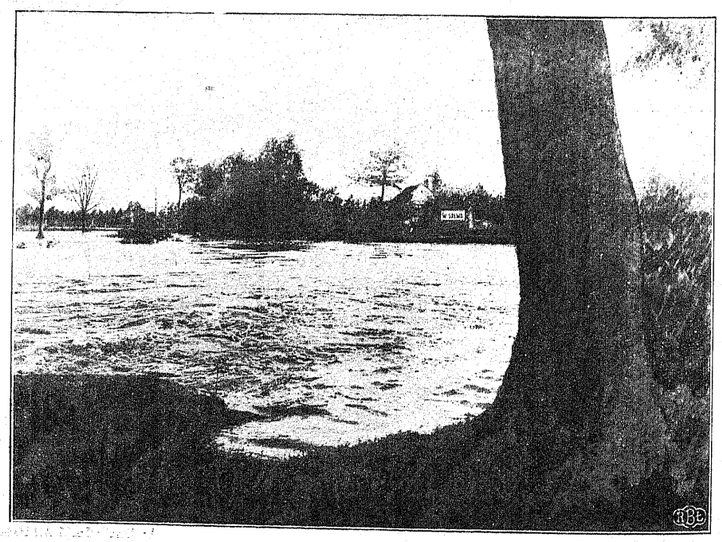

Niebywały od lat wylew rzeki Ner w Rudzie Pabjanickiej pod Łodzią.

Redaktor: **Klemens Orchulski.**

Odbito w drukarni: **„Kurjera Łódzkiego".**

Łódź w ilustracji

DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO".

Rok IV. Łódź, dnia 5 czerwca 1927 roku. Nr. 23.

XV zjazd przedstawicieli związków spółdzielczych.

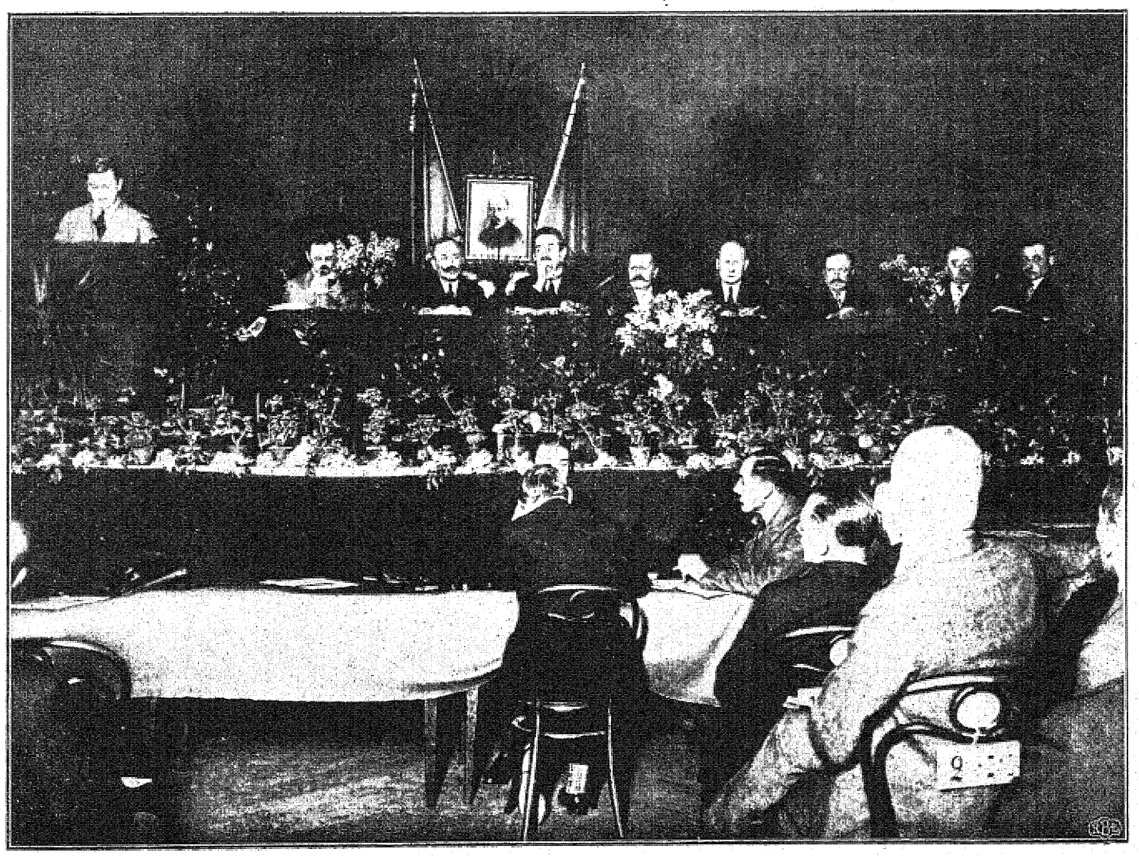

W dniu 28 i 29 maja r. b., w sali łódzkiej Filharmonji odbył się imponujący zjazd pełnomocników Związku Spółdzielni Spożywców Rzeczypospolitej.

Na zdjęciu — prezydjum zjazdu w czasie obrad. Fot. A. Meyer.

Teatralja.

„Wieża Babel". — „Fidelis". — Szaliapin w Wiedniu. — Lwów, Poznań, Wilno. — Dobra rada.

„Wieża Babel" Antoniego Słonimskiego, której wystawienia w Teatrze Polskim oczekiwano z dużem zainteresowaniem w kołach artystycznych i teatralnych stolicy, przyjęta została, jak już donosiliśmy, życzliwie naogół w dniu premjery. Mimo to jednak sporo zapowiadające powodzenie, oparte na sensacyjnej i aktualnej koncepcji dramatu i jego niewątpliwych walorach poetyckich oraz — w niemniejszej zapewne mierze — na zdumiewającym wysiłku reżyserskim Leona Schillera — sztuka Słonimskiego już po 10 dniach zeszła z afisza, ustępując miejsca jakiejś poczciwie - figlarnej komedji Flersa i Caillaveta. Na zimno głoszona ewangelja pacyfizmu i miłości wszechludzkiej, wplątana w pomysł budowy jakiejś międzynarodowej „wieży Babel" i powstającego przytem konfliktu pomiędzy jej twórcą, Thompsonem, a tłumem jego wscpółpracowników i podwładnych, — ewangelja ta, niewątpliwie bardzo szlachetna w swych przesłankach ideologicznych, nie zdołała przecież wzbudzić gorętszego wśród szerszej publiczności entuzjazmu i ugruntować sukcesu sztuki p. Słonimskiego.

Niezależnie od założeń propagandystycznych, posługujących się formą alegoryczną, nie we wszystkich szczegółach jasną i przejrzystą, „Wieża Babel" posiada również dramatyczny, dość znany oddawna, motyw konfliktu pomiędzy niebotycznemi aspiracjami genjuszu jednostki a ograniczonością dążeń i pojęć ludzkiej masy. W technice bardzo luźny i swobodny, dramat Słonimskiego jest w pewnym stopniu dramatem masowym, w którym tłum jest współ-aktorem i współ-bohaterem akcji scenicznej. Ta nawskroś nowoczesna technika „Wieży Babel", pełna symbolów i rekwizytów aktualności (radjo, dźwigi, elewatory, dynamo, anteny, hydroplany itd., itd.) oraz życie tłumów, przelewających się po scenie, dały pole do świetnego popisu reżyserskiego p. Schillerowi, popisu, który „sam w sobie" godzien jest widzenia i podziwu. Niestety, materjał dany przez autora reżyserowi do dyspozycji, jest zbyt jednostronnie przeładowany owemi akcesorjami nowoczesności, co wkońcu musi znużyć i zmoderować wytworzone na wstępie dramatu zainteresowanie. Długie tyrady, na cześć Międzynarodówki Miłości głoszone, lśnią wierszem pięknym i dźwięcznym, płynącym jednak raczej z mózgu, niźli z serca; to też lśnienie to przywodzi na myśl częściej — fosfór, niż słońce.

Jakkolwiekbądź, dobrze się stało, że dyr. Szyfman zrealizował debiut sceniczny jednego z najbardziej głośnych i bojowych „skamandrytów". Próba, mimo wszelkie zastrzeżenia, była pod każdym względem interesującą i nawet, powiedzieć można, pouczająca. Pp. Boelke, Samborski i Kuncewiczówna dźwigali ciężar głównych ról, w sposób godny uznania.

Opera warszawska dla uczczenia (spóźnionego mocno) Beethovenowskiej rocznicy wystawiła „Fidelia", dokument zmagania się genjuszu wielkiego muzyka z oporem obcej mu operowej formy. „Fidelio" z mozołem ukończony ostatecznie w roku 1814, jest oczywiście dziełem przedewszystkiem — symfonisty, a nie operowego twórcy; to też element muzyki, a nie dramatu występuje tu na plan pierwszy, i on głównie, czy może nawet wyłącznie, może być w danym wypadku substratem dla emocjonalnych przeżyć słuchacza. „Fidelia" którego partje główne śpiewali pp.: Czapska, Dobosz i Tokarski, wystawiono w operze stołecznej bardzo skromnie i przeciętnie, nie składając bynajmniej egzaminu z niezbędnego zawsze dla muzyki Beethovena pietyzmu, ani ze zrozumienia tej muzyki stylu i odrębności.

Grana już w b. sezonie w teatrze lubelskim najnowsza sztuka Emila Zegadłowicza „Betsabe", oparta na biblijnem podaniu o miłości króla Dawida ku żonie wodza Urjasza, zyskała sobie ostatnio ogromny sukces na sscenie Teatru Nowego w Poznaniu. Poetycki nastrój dramatu Zegadłowicza, pełen skupienia i głębokiej symboliki, zyskał na wyrazie dzięki znakomitej reżyserji p. St. Wysockiej oraz grze p. Ireny Solskiej w roli Betsabe. Gra p. Solskiej oceniona została w sposób najbardziej entuzjastyczny przez całą krytykę poznańską.

P. Wysocka od nowego roku teatralnego, obejmuje reżyserję w poznańskim Teatrze Polskim. Fakt ten powitany został przez cały kulturalny Poznań z żywą radością i nadzieją, że współpraca tak znakomitej i zasłużonej artystki wzniesie scenę zachodniej stolicy na poziom prawdziwie wysoki.

Dość niewyraźnie przedstawiają się na przyszły sezon losy miejskich teatrów we Lwowie, gdzie magistracka komisja teatralna wykoncypowała iście drakońskie warunki dzierżawy. Wprawdzie tenuta wynosić ma zaledwie 1,200 zł. rocznie (przy subwencji 420,000 zł.), ale dzierżawca obowiązany jest do złożenia w gotówce, jako kaucji, 100,000 zł., oraz do udzielenia gwarancji realnej (np. na hipotece) — 200,000 zł. Wobec tego, że przy podobnych warunkach dzierżawy, nie odważyłby się reflektować na teatry lwowskie żaden z fachowców, czego dowodem było cofnięcie się od pertraktacyj takich „firm", jak Osterwa Chaberski, Drabik — uchwała komisji teatralnej została już na następnem posiedzeniu zreasumowana. Nic jednak jeszcze nie wiadomo, czy Lwów pozostawi ostatecznie teatry w zarządzie miejskim, czy też wydzierżawi je — i na jakich warunkach.

Czynny i ruchliwy w swych poczynaniach artystycznych dyr. Osterwa objeżdża w b. m. prowincję wileńską z „Redutą". Repertuar stanowią dwie tylko sztuki, znakomicie przez zespół ten przygotowane i grane: „Śluby Panieńskie" i „Cyd". Widowiska „Reduty" znajdują, jak zwykle, w miastach i miasteczkach kresowych bardzo serdeczne przyjęcie.

Występy Szaliapina w państwowej operze wiedeńskiej, które odbyły się w tych dniach, nabrały cech pod każdym względem sensacyjnych. O zainteresowaniu się Wiednia osobą i głosem nieznanego dotąd w tem mieście Szaliapina, świadczy fakt, że już na 20 godzin przed otwarciem kasy, sprzedającej bilety na przedstawienie z udziałem fenomenalnego śpiewaka, kasę obległy formalnie długie kolejki publiczności, zaopatrzonej w krzesła składane, wiktuały, książki do czytania etc. Powodzenie Szaliapina było, oczywiście, najzupełniejsze, a owacje wyjątkowo gorące i burzliwe. Część publiczności, dla której zbrakło biletów, wypełniła foyer i kurytarze teatralne, aby choć „przez ścianę" usłyszeć śpiew Szaliapina. Szkoda jednak, że sukcesy te zostały zmącone pewnym skandalem, wywołanym przez Szaliapina podczas przedstawienia „Fausta". Ponieważ Szaliapinowi nie odpowiadały niektóre tempa, podawane przez dyrygenta orkiestry Alvina, pewny siebie Rosjanin wystąpił na przód sceny i począł dyrygować — sam, w tempie o wiele szybszem. Te oryginalne epizody miały miejsce kilkakrotnie i kto wie, czy nie zakończyłyby się wrogą dla Szaliapina manifestacją oburzonej publiczności, gdyby nie takt dyr. Alvina, mającego względy dla wielkiego śpiewaka i — gościa. Nawiasem dodamy, że gość ten brał w Wiedniu za jeden występ — 3000 dolarów!...

Wzór dowcipu Tristana Bernarda podają dzienniki paryskie. Pewien młody autor czytał mu swą sztukę, której Tristan Bernard słuchał z rezygnacją ale cierpliwie. Wreszcie, gdy autor skończył, Bernard zapytuje: „Jakże tam z tą bohaterką, co się z nią wkońcu stało?" — „Otruła się" — odpowiada młody dramaturg. Na to Bernard: „Radzę panu, aby się zastrzeliła; będzie to lepiej; chodzi bowiem o sam huk, którym trzeba przecież publiczność obudzić..."

Delta.

W dniu 26 maja r. b. Szkoła Rzemiosł T-wa Salezjańskiego w Łodzi obchodziła podniosłą uroczystość poświęcenia sztandaru dla młodzieży szkolnej, przy licznym udziale duchowieństwa i miejscowego społeczeństwa. Niebywały swój rozwój Szkoła zawdzięcza w pierwszej linji dyr. ks. prof. dr. Łatce.

Tydzień Polskiego Czerwonego Krzyża.

(Z działalności Okręgu Łódzkiego).

W szpitalu Czerwonego Krzyża w Łodzi ustawiony został radjo-aparat, co wpływa ogromnie na urozmaicenie szarego życia chorych żołnierzy.

Siostry Czerwonego Krzyża okręgu łódzkiego, na sali opatrunkowej.

Kolosalna składnica zapasów bielizny.

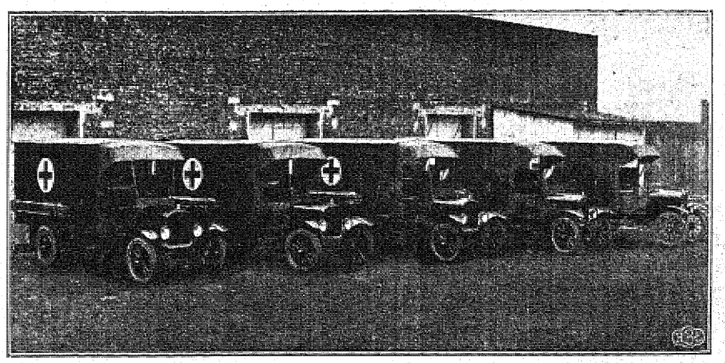

5 automobili sanitarnych, gotowych do wyjazdu, stworzył Polski Czerwony Krzyż w Łodzi.

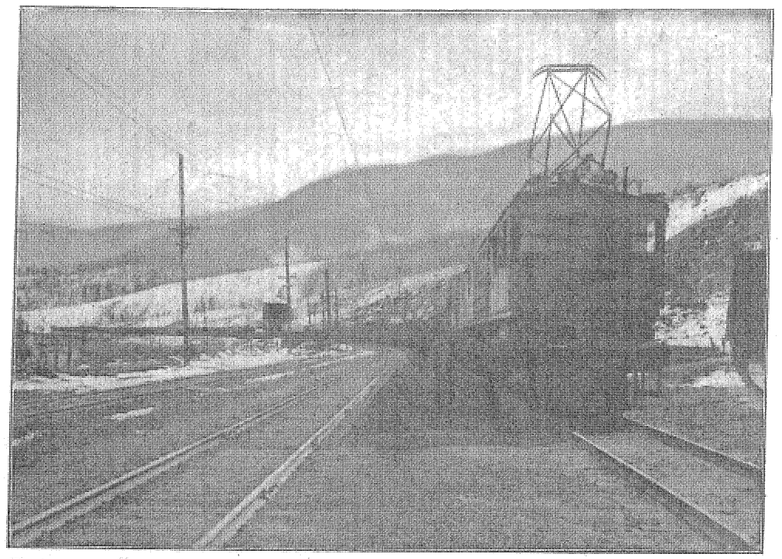

Pociąg towarowy złożony ze 100 wagonów na elektrycznej Chicago-Milwaukee St. Paul.

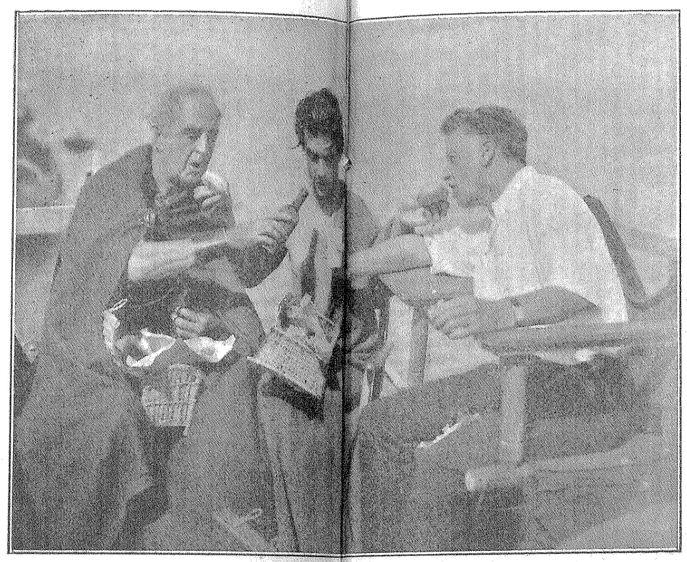

Jak kręcą film? Krótkie śniadanie w czasie „nakręcania" filmu. Siedzą: Franc Currier, słynny Ramon Novarro i genjalny reżyser „Ben Hura" — Fred Niblo.

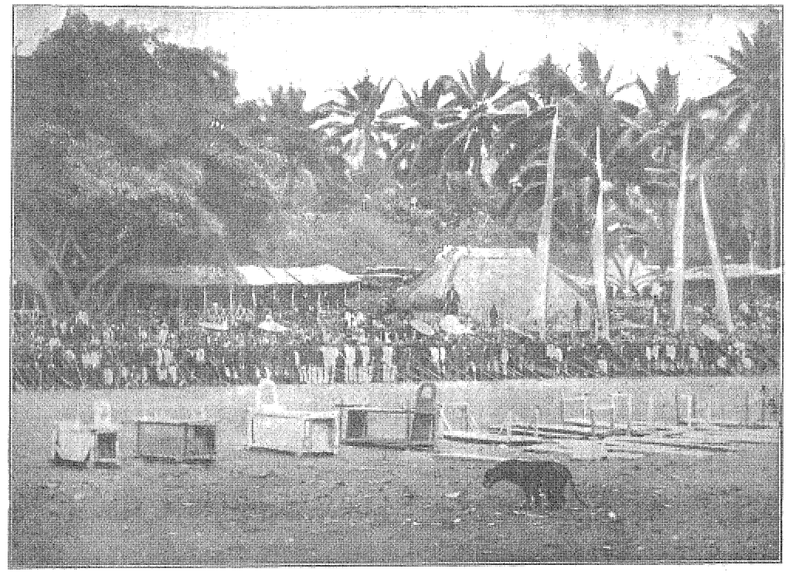

Publiczne walki z dzikiemi zwierzętami odbywają się na Jawie. Zdjęcie nasze przedstawia lamparta na arenie.

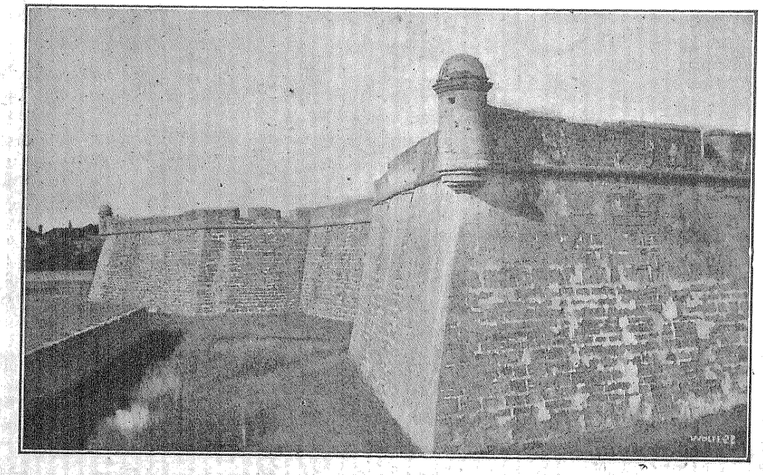

500-lecie odkrycia Florydy. Stary fort św. Marji, pamiątka po pierwszych zdobywcach Florydy.

Letnia noc nad jeziorem Torne w Laponji.

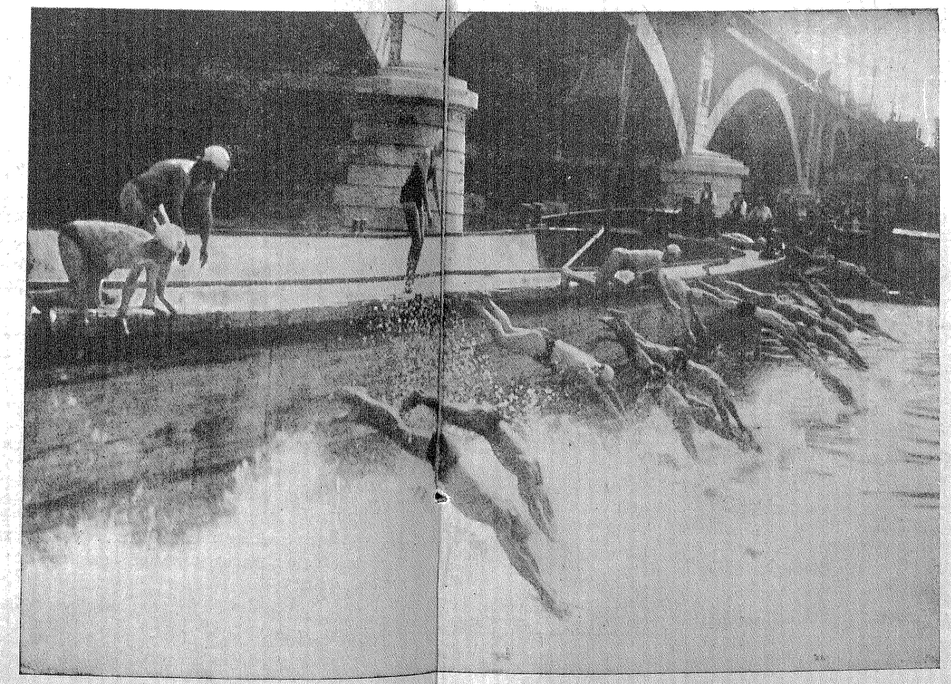

Wpław przez Sekwanę. Doczne wyścigi pływackie w Paryżu.

Coraz częściej widuje się zagranicą radjoodbiorniki na taksówkach, umożliwiające kierowcom przyjemne oczekiwanie na pasażerów.

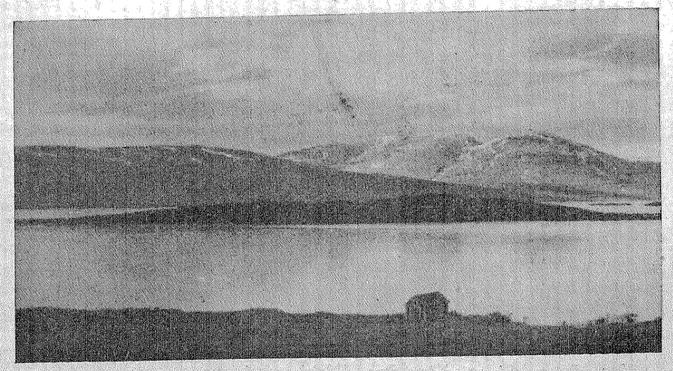

Jezioro Torne z charakterystycznemi kopulastemi górami Laponji.

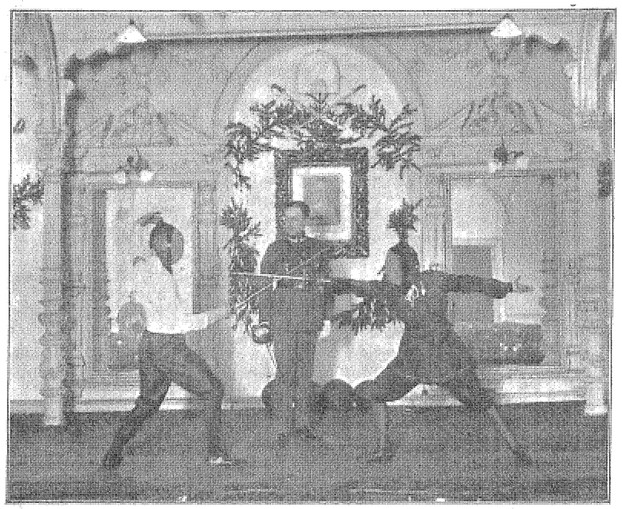

Walka szermiercza w lwowskim Korpusie Kadetów.

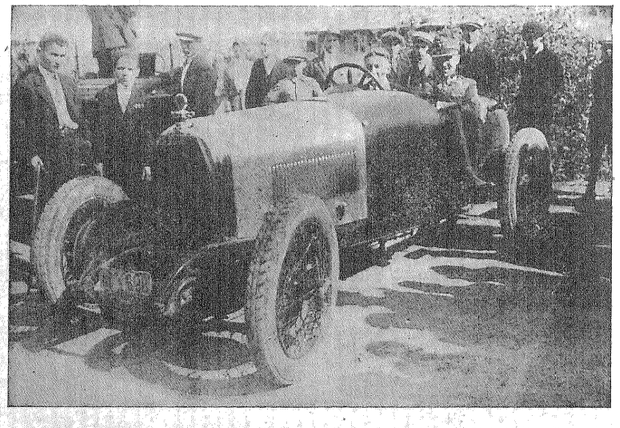

Inż. Henryk Liefeld na Austro-Daimlerze, zwycięzca w łódzkich wyścigach samochodowych.

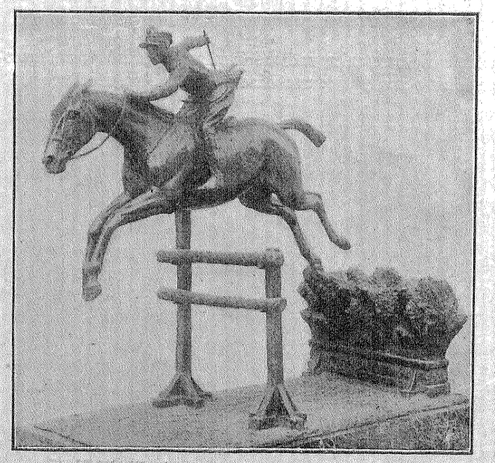

Nagroda polskiego Min. Spr. Wojskowych za jeden z konkursów nicejskich: zdobył ją w tym roku Belg, kpt. Brabanden.

Nowy rekordzista polski.
Górski (Sokół — Piotrków) zapowiada się jako pierwszorzędny „as" w rzutach.

Sekcja lekko-atletyczna „Sokoła" w Konstantynowie.

Wbijanie tradycyjnych gwoździ w drzewce sztandaru dla młodzieży ze Szkoły Rzemiosł T-wa Salezjańskiego.

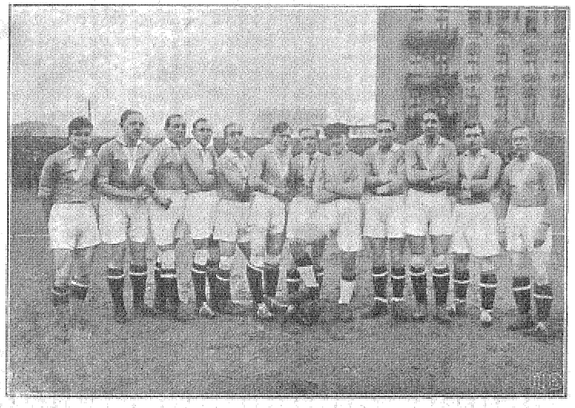

Drużyna piłkarska „Turystów" w Łodzi.

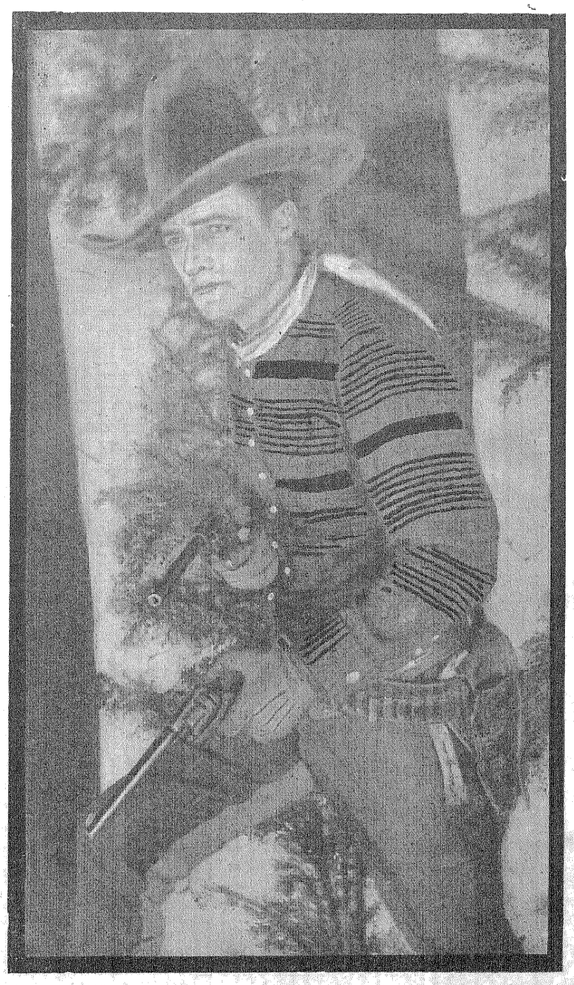

Słynny cowboy amerykański Tom Mix, w obrazie p. t. „Detektyw", na ekranie kina „Czary".

Z MIEJSKIEJ GALERJI SZTUKI.

„Portret w myśliwskim stroju" — H. Teodorowicz-Karpowskiej.

W dniu 29 maja r. b odbyły się wyścigi szosowe zorganizowane przez Łódzkie Towarzystwo Kolarskie.

MAURICE DEKOBRA.

Przygoda Odetty.

Samochód mknął między zabudowaniami fabrycznemi przedmieścia Clichy. Szofer Henry w białym płaszczu i czarnej czapce prowadził mistrzowską ręką maszynę.

Piękna Odetta de Gentelise, otulona w lekką cape krecią, rozparła się na haftowanych skórzanych poduszkach. Przyglądała się odbiciu swemu w lustrze, wprawionem pochyło między ścianką a dachem limuzyny i poprawiała upierścieniona białą rączką sznur czarnych pereł, okalających jej utoczoną szyję. Poznać było z każdego jej gestu, z każdego szczegółu stroju i nawet z liljowych orchidej, zdobiących kryształowe wazoniki w oknach, że jest pieszczoną przez los, psutą przez przyjaciół wykwintną damą z towarzystwa.

Nagle samochód zwolnił jazdę. Środek ulicy zajmowała grupa dyskutujących robotników. Sygnały ostrzegawcze Henry nie odnosiły żadnego skutku — rozprawiający nawet nie drgnęli, a nawet gromada wzrosła. Limuzyna zatrzymała się

— Henry, co się stało? — nerwowo krzyknęła do tuby Odetta.

Szofer wzruszył ramionami. Nie mógł przecież przejechać dwudziestu ludzi. Odetta przyjrzała się tymczasem baczniej zebranym i szepnęła przerażona:

— Strajkujący!

Istotnie, byli to strajkujący z fabryk Ballandier'a. Widok luksusowej limuzyny, chcącej ich zmusić do ustąpienia z drogi, wzburzył w nich krew. Stanęli na stopniu i rozpoczęli badanie szofera.

— Cóż to, towarzyszu. Wieziesz na spacer zbytkowną laleczkę?

— To moja pani. Wypełniam tylko mój obowiązek — odparł Henry, i zakręcił korbą, chcąc ruszyć.

— Hola! — krzyknął jakiś olbrzym, kładąc ciężko rękę na korbie. — Zostaw no to cacko. Czy naprawdę masz zamiar tak odjechać? A przedewszystkiem, czy należysz do związku?

— Oczywiście. Chcecie legitymację?

— Nie trzeba. Wierzymy żeś nasz. Twoje szczęście, bo my nie lubimy obcych. Ale skoro tak, to razem sobie zrobimy hecę.

— Tak, ale widzicie — mnie się śpieszy....

— Głupstwo! Nie martw się o zachcianki twej pani. Skręcaj na prawo do tego domu, a nam pozostaw resztę.

Gromada miała groźny wygląd. Sprzeciw nie przydałby się na nic. Przywódca bandy wydobył z kieszeni browning i podrzucał, niby dla zabawy. Henry skręcił samochodem i podjechał do wskazanego domu, eskortowany przez całą gromadę.

Odetta słyszała wszystko. Blada i dygocąca skuliła się w rogu siedzenia. Co chciała od niej ta zdziczała gawiedź?

Właśnie otworzyły się drzwiczki i przywódca bandy, ironicznym gestem zdejmując czapkę, powiedział:

— Czy księżna pani zechce nam zrobić zaszczyt i wysiąść?

Gromada wybuchnęła śmiechem. Odetta chciała wołać pomocy — ale zrozumiała bezcelowość tego odruchu. Nigdzie nie było nawet śladu policji. A tymczasem czarna od styczności z naoliwionemi maszynami ręka łagodnie, ale rozkazująco objęła przedramię Odetty i pociągnęła. Odetta wyszła z limuzyny.

Szofera już też wyciągnęli i poprowadzili oboje na pierwsze piętro drewnianego odrapanego budynku. Tłum skupił się w korytarzu i na schodach.

— Towarzyszu — spytał jeden z grupy Henry'ego — czy jesteś z twej chlebodawczyni zadowolony?

— Tak jest — odpowiedział szofer bez wahania.

— Czy ci dobrze płaci, syto daje jeść, grzecznie się odnosi.

— Tak.

— Wobec tego będziemy dla niej względni, prawda, towarzysze? Jeśli się nie mylę, ma nasz brat od swej pani wszystko, co chce, prócz, jak myślę, jednej rzeczy... A dlaczego właściwie tylko eleganccy panowie mają mieć wszystko? Jaka ona czysta, apetyczna, świeża... Ładna buźka, cienka bielizna... Słuchajcie, uważam, że nasz towarzysz ma do niej takie samo prawo, jak bogaci dżentelmeni. Stąd wysuwam następujący wniosek: Szofer zostanie zamknięty ze swą chlebodawczynią w przyległym pokoju i pozostawimy mu godzinę czasu na przebycie odległości towarzyskiej, jaka ich dzieli. Czy się zgadzacie? Mówcie!

Gromkie okrzyki i oklaski wyraziły uznanie bandy. Ależ miał pyszne pomysły ten olbrzym Marcasson od metalowców!...

W okamgnieniu znalazła się Odetta i Henry, wepchnięci silnemi pięściami, w małym pokoiku o żelaznem łóżku, stoliku i dwóch krzesłach. Klucz zgrzytnął w zamku — głosy gromady ucichły, ale z pod drzwi rozlegała się rozmowa dwóch drabów, trzymających straż.

Odetta opadła na łóżko, przerażonym wzrokiem rozglądając się dokoła. Szofer, zacny, inteligentny chłopiec, wielokrotnie odznaczony na wojnie, uczciwy i prawy, zrozumiał lęk swej pani.

— Niech się jaśnie pani uspokoi. Oni wcale nie są tacy straszni. Grunt, żeby ich przekonać, że ja... że my... że pani... Gdyby pani zechciała trochę rozpiąć suknię, żeby wyglądało, jak... Ja też, jeśli pani pozwoli, zdejmę bluzę. Dziękuję. Czy podać pani lusterko?

Wziął ze stolika pęknięte lusterko w metalowej ramce i usłużnie trzymał przed Odettą.

— Może jaśnie pani jeszcze potarga trochę włosy i zetrze puder?

Umilkł, a Odetta wypełniała mechanicznie jego polecenia, nie myśląc wcale. Jej drobne, wydelikacone ręce drżały nerwowo. Wskazała główką karafkę z wodą. Henry nalał do szklanki i podał. Wypiła i bezwładnie osunęła się na krawędzi łóżka. Patrzała na szofera błędnym wzrokiem, jak gdyby go nie widziała.

Tak przeszedł kwadrans, pół godziny, czterdzieści minut...

Wreszcie Henry krzyknął pod drzwiami:

— Hej tam! Otwórzcie już!

Pilnujący otworzyli drzwi i pobiegli powiadomić bandę. Wnet zaludniły się schody. Gorzkie i wiśniowe, które tymczasem wypili, usposobiły gromadę dobrodusznie i wesoło. Przyglądali się z zadowoleniem Odecie i szoferowi, doprowadzającym do porządku swą garderobę.

— Wiwat na cześć pary kochanków!— huknął Marcasson. — A gdyby coś było— to nasz związek poda do chrztu...

Henry uścisnął szereg wyciągających się do niego dłoni i przyjmował powinszowania.

— Pewno byś się chętnie zaabonował? — zakpił Marcasson. Ten był zdecydowanie niezrównany!

Na dole Henry pomógł wsiąść Odecie do auta i szybko odjechał, ścigany okrzykami gromady. Gdy się zbliżyli do Porte d'Asniéres, odwrócił się i spytał:

— Gdzie zawieźć jaśnie panią?

— Do domu! — odpowiedziała płaczliwie.

Stanęli przed willą na rue des Belles - Feuilles. Henry otworzył drzwiczki, pomógł wysiąść Odecie i spytał troskliwie:

— Czy jaśnie pani czuje się dobrze? Czy nie zaszkodziła jej ta przygoda? Chyba nie, — zawdzięczając mnie.

Świadoma, że niebezpieczeństwo minęło, Odetta ochłonęła już zupełnie. Jednakże dziwny dreszcz przenikał jeszcze jej ciało, a podkrążone oczy błyszczały szkląco. Niedbale rzuciła:

— Zawdzięczając Henry'emu? Ależ co?

Henry osłupiał.

— Przecież to, że pani.... właściwie, że ja jaśnie panią... uszanowałem — wybełkotał, mnąc w zmieszaniu czapkę.

Odetta uśmiechnęła się zagadkowo, postąpiła kilka kroków wyzywającym, kołyszącym chodem, i mierząc szofera pogardliwem spojrzeniem przymrużonych oczu — syknęła przez zęby:

— Bałwan!....

Tłum. Ir.

Redaktor: Klemens Orchulski. **Odbito w drukarni: „Kurjera Łódzkiego".**

Łódź w ilustracji

DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO".

Rok IV. **Łódź, dnia 12 czerwca 1927 roku.** **Nr. 24.**

Dzień katolickiej dziatwy szkolnej w Łodzi.

W dniu 29 ub. m. dzieci katolickie w Łodzi (z Krucjaty Eucharystycznej) obchodziły doroczną swą uroczystość, połączoną z nabożeństwami w świątyniach, pochodem i akademją. Fot. A. Mayer